

MÓJ ŚWIATEK

Tygodniowy dodatek „Kurjera Zachodniego” dla dzieci.

Pod redakcją Czarnego Wujaszka.



WSRÓD NOCNEJ CISZY

Wśród nocnej ciszy, w blasku gwiazd
złotych
W stajence Chrystus się dzisiaj rodzi,
Anioł pokoju od tamtych czasów
Pomiędzy ludźmi z uśmiechem chodzi.

Z piosnką do ludzi wszedł dobrej woli.
A że jest z mamą i ojcem w znowie
To pod choinką wśród dzieci stanie
I baśń im śliczną o szczęściu powie.
CZARNY WUJASZEK.

KOCHANE DZIECI!

Nadeszły najradośniejsze w ciągu roku święta Bożego Narodzenia. Najradośniejsze są one równieży dlatego, że są świętem dzieci, bo przedewszystkiem o Was myślą rodzice, strojąc choinkę i zaścielając białym obrusem stół wigilijny. Dla Was to jest w dniach świątecznych tyle w domu jasności i cichego szczęścia, aby go Wam wystarczyło na później i żebyście w aureoli łagodnego spokoju stołu wigilijnego przy boku rodzicom szli przez bodaj najdłuższe swe życie.

Życzę Wam z całego serca, abyście te święta przepędziły radośnie, abyście miały jak najwięcej powodu do beztroskiego śmiechu i wesela w gronie najbliższych. Niech pierwsza gwiazda, która zabłyśnie w noc wigilijna, będzie dla Was gwiazdą szczęśliwą. Niech razem z jej ukazaniem się radość Wasza stanie się również udziałem Waszych rodziców, uginających się pod ciężarem trosk, o których Wy jeszcze pojęcia nie macie. Niech anioł pokoju wejdzie do domów Waszych i niech będzie w nich tyle szczęścia, ile go może pomieścić dobre, miłujące serce ludzkie.

Wesołych Świąt, drogie moje dzieci!

CZARNY WUJASZEK.

Wigilja Władka — gazeciarza

Kurier Zachodni z „Moim Świątkiem!”

Mały Władek biegnie po jezdni wzdłuż chodnika. Pod pachą ma paczkę gazet. Chłód szczypie go w rękę, więc przekłada gazety to pod prawe, to pod lewe ramię i chowa dłoń do kieszeni podartych portozym.

Kuurjer Zachododni!

— Kuurjer! — krzyczy co mocy w zachrypniętym gardle

Na ulicy tłumy przechodniów śpieszą w obie strony. Jeszcze jest dość wcześnie — — niema godziny piątej. Jeżdżą tramwaje — hałas dzwoniem, zgrzyt kół na zakrętach i głuche „trr-trr” motorów. Pędzą auta — motory spalinowe wyrzucają ciche „puf-puf” wraz z

gazami ze spalanej benzyny — trąbią trąbki, czasem zaryczy syrena. Rzadko przejeżdża dorożka, ciągnięta przez włokącą się nogą za nogą szkapkę...

Reklamy świetlne migają różnymi barwami. Neonowe lampki — czerwone i zielone, niebieskie i żółte i fioletowe — wszystkich odcieni — grają tęczą przy ścianach, ożywiając brudne powierzchnie szarych domów.

Ulica wygląda odświeżenie — jaśniej — choć przecie nic się nie zmieniło — chyba, że przechodnie na „Trzeciaku” śpieszą się, zamiast iść, jak zwykle, wolno...

Boże Narodzenie — Wigilja... Mały Władek biegnie szybko, „Cap, cap, cap” — kłapią jego bu-

ciory co je dostał od szewca — sąsiada o wiele za duże na jego nogi; petają się gdzieś między kostką a kolanem ni to długie ni krótkie porcięta, o krótszej naprzemiany nogawce prawej lub lewej, w miarę, jak Władek przekłada rękę z kieszeni do kieszeni. Kurtka — wiadomo: letnia czy zimowa, tak bardzo jest wyświechtana i tyle lat ma na sobie — nie grzeje i Władek wzdryga się raz po raz i drży, gdy tylko przystanie. Więc biegnie coraz szybciej. Jeszcze dużo gazet zostało mu do sprzedania — nie liczył ich, ale pewnie przeszło dwadzieścia, a może dwadzieścia pięć nawet. Trudno teraz sprzedać gazetę: na każdym rogu stoi kiosk — cóż więc pozostaje Władkowi? Musi iść na wyścigi z takimi samymi jak on sprzedawcami, zdobywać każdy wagon tramwajowy, patrzeć bacznie okiem, czy jaki przechodzień nie zechce kupić piśma....

Ale dziś mniejsza konkurencja. Poznał to już w administracji, gdzie dostał trzy razy taką paczkę gazet, jak zwykle. „Twoi koledzy nie przyszli dziś” — powiedziano mu. Władek wie — dziś Wigilja przecież.

— Kuumurjer! Kurjer Zachodni!
Chłopiec! Dajno!

Władek podbiega, wręcza gazetę, bierze pieniądze, wydaje resztę i pędzi dalej.

— Kuumurjer....

Wigilja, Władek pamięta, jak to było przed dwoma laty. Wówczas nie chodził w takich petających się pomiędzy nogami portkach, ani w tych butach siedmiomilowych, ani w kurteczce, co więcej okrywa niż grzeje. Nie sprzedawał gazet. Wogóle nie musiał pracować na chleb. Wtedy było całkiem inaczej. Oj-

ciec, matka, ciepła zba — ach, jak że ciepła — a na środku taka durza aż do sufitu, choinka pełna jabłek i różnych świecidełek. Władek aż przystanął, tak mu się to wydało bliskie i piękne. Ale ocknął się już po chwili... Ech, co tam — lepiej nie wspominać, co było, to już nie wróci... To jest — choinkę może sobie kupić, kiedyś, jak będzie więcej zarabiał, jak zostanie „czemś” — może panem redaktorem? Ale ojciec matka? Nie, o nie wróca już. Lepiej nie myśleć...

Myśli jednak wracają uparczywie. Władek we wspomnieniach przeżywa ten dzień, tę Wigilję z przed dwóch lat. Ojciec był nie tak poważny, jak zwykle, ale wesoły, a matki śmiech rozbrzmiewał cały dzień. „A pamiętasz żoniuś to? A pamiętasz Jasiu owo?” Władek rozumiał że rodzice wspominają czas, gdy jeszcze nie byli mężem i żoną, a on całkiem nie istniał na świecie. Potem, przy opłatku, ojciec z matką popłakali się, ale jakoś radośnie, a jemu ojciec życzył, żeby był takim samym zuchem, jak on, co zawsze sobie daje radę, tylko mądrzejszym, uczciwszym i dlatego żeby uczył się dobrze... Potem śpiewali kolendy i jedli orzechy i było mu tak bardzo dobrze razem, we trójce...

— A potem... potem matka zachorowała, pomęczyla się krótko zmarła. Po jej śmierci ojciec stał się jeszcze bardziej poważny — nie śmiał się teraz wcale — tylko dla Władka był jakiś tliwszy i częściej głąkał go po głowie.

Aż raz... poszedł do fabryki i już więcej nie wrócił o własnych siłach. Powieźli go do szpitala, poszarpanego przez maszyny. Żył jeszcze dzień czy dwa — Władek do-
brze nie pamięta tych chwil — i

także umarł...

Wspomnienia cisną się wraz ze łzami. Władek czuje, jak go coś ścisła za gardło, coś legło na piersiach, ciężkie jak kamień. Aby nie wybuchnąć łkaniem, woła na cały głos:

— Kururjer Zachodni! Kururjer!

Trzeba się śpieszyć, trzeba rozsprzedać resztę numerów. Już musi być późno. Przechodniów coraz mniej. I tramwaje nie kursują już tak często — coraz rzadziej słychać zgrzyt kół na zakrętach — rzadziej rozlega się głuche „urr-urr“ w zapadającej ciszy. Anta też można policzyć na palcach — zato głośniei wyrzucają swoje „puf-puf“ wraz z zapachem spalonej benzyny. A dorożki już całkiem zniknęły z ulic i nie słychać człapania ciągnących je koników...

Jeszcze dziesięć numerów. Czy to się dziś nie skończy? I znowu wrwie się krzyk z ochrypniętego gardła:

— Kururjer!

Ale właściwie, poco ma się skończyć? Wszystko jedno, czy spędzi noc tę na dworze, czy w zadymionej, zaszała para, śmierdzącej mydlinami izbie praczki, u której mieszka kątem. Tylko, że tam nieco cieplej. Ale ciepło może być i w pierwszej lepszej jadalni, do której wejdzie, aby coś zjeść — gdy sprzeda wszystkie gazety, o czwście.

I znów wspomnienia cisną się do małej głowiny. Ta praczka, to ta, do której ojciec po śmierci mamy oddawał brudną bieliznę. Gdy skończył ojciec opuścił ten świat, ona była pierwsza — cprawda i jedyna — która zgłosiła się, aby pocieszyć małego sierotę. I w porywie serca — może tego później żałowała? —

rzekła wtedy do Władka: pójdź do mnie nieboże, nie będziesz miał frykasów, ale ci chociaż zastąpię matkę — sama jestem matka dzieciom! Moje tyż sieroty!

I Władek poszedł. Cóż miał robić? W pierwszych miesiącach miał dobrze, nawet bardzo dobrze i gdyby nie tęsknota za rodzicami i odór ziejący z ustawicznie zaparzonej i pranej bielizny i dwoje wечно zasmarkanych, płaczących dzieciaków mógłby powiedzieć, że lepiej nie trzeba.

Chodził przecie do szkoły i praczka dogadzała mu jak mogła. Ale gdy skończyły się pieniądze, używane ze sprzedaży mebli i rzeczy pozostałych po rodzicach — skończyły się i te „dobre“ czasy. Jedzenie stało się coraz gorsze, a praczka coraz częściej powtarzała, że ona musi pracować, że ona darmożjadów żywić nie może, że mógłby przestać chodzić do szkoły, bo i tak mędrceem nie będzie, a iść do terminu — do szewca, albo stolarza — i nie objadać jej, biednej wdowy. Władek już postanowił iść do terminu, gdy jeden z kolegów szkolnych poradził mu, aby sprzedawał gazety.

I Władek sprzedawał. Rano chodził do szkoły, a po południu i wieczorem biegał po ulicy z gazetami.

Jeszcze tylko pięć numerów. — Kururjer Zachodni!

Jakiś pan kupił jeden numer, jakaś pani drugi. Zostały trzy. zdaje się już nikt nie kupi. Ulice opustoszały.

Władek zwolnił kroku. Jakoś nie było mu zimno, choć bardziej się jeszcze ochłodziło i wiatr wiał z północy. Rece wsadził w kieszenie i szedł ul. Piłsudskiego, wlokąc za sobą odmawiające posłuszeństwa nogi.

Pani Anna ubierała choinkę — tak, jak rok rocznie to czyniła od wielu lat, pomimo śmierci męża, a potem syna. Ubierała, nie wiedząc poco, nie zdając sobie sprawy, dlaczego to robi. Może dlatego, że z tym drzewkiem wiązało się tyle pięknych, szczęśliwych wspomnień — Tak im dobrze było we troje... Lecz tu wspomnienia zaczynają się zaciemniać. Mąż umarł, została sama z Władkiem. Lata ciężkiej, ofiarnej pracy, aby Władek mógł się uczyć, a uczył się chętnie — aby mu na niczem nie zbywało... Potem Władek poszedł za ojcem — właśnie w taki grudniowy dzień, gdy zapalało się choinkę.

— Dziś miałby już dwanaście lat — myśli pani Anka, a ręce jej drżą z lekka.

Choinka jest niewysoka, ot taka, jak pani Anka. Ciemno-zielony św.erk. Przy świetle elektrycznym wygląda prawie czarno, ale rozjaśni się po zapaleniu świeczek. Na samym szczycie ma złoto-srebrną kulę ze szpicem, sterczącym do góry, jak sople lodu. Niżej idą podobne kule, ale już bez szpiców. Niżej jeszcze złoczone i srebrzone orzechy, na samym dole zaś maleńkie, rajskie jabłuszka, czerwone i aż proszące się żeby je zjeść. Od szczytu biegna zygzakowato różnokolorowe łańcuchy, pracowicie wykręcane i ulepione z papieru. Na to wszystkie drobne płateczki waty, co wyglądają jak śnieg.

— Czy tylko świeczek mi starczy — martwi się pani Anka, osadzając parafinowe pałeczki w lichtarzykach. Zapóźno już, aby dokupić... I o piegnikach w tym roku zapomniałam...

Pani Anka samotnie spożywa kolację wigilijna. Na stole, na samym

środku, na talerzyku leży symboliczny, tradycyjny opiatek, którym się pani Anka z nikim nie podzieliła...

Zapalone na choince świeczki, jażą się, trzaskając z lekka. W powietrzu rozchodzi się zapach przygrzanej świeczyny. Kule lśnią, złocą i srebrzą orzechy, a czerwone jabłuszka kięcą się wolno na nitkach.

Cisza.

Należałoby coś zaśpiewać — myśli pani Anka. — Zawsze z mężem śpiewaliśmy, a Władek nam towarzyszył swym niepewnym głosem.

I zaczyna:

— Przybieżeli...

Głos jej urywa się nagle. Wybuch płaczu.

— Nie mogę — szepta przez łzy. — Tyle lat...

Gasi jedną po drugiej świeczki, ubiera się gorączkowo i wychodzi.

— Aby nie być samą, aby pójść między ludzi...

Ale ulice puste i ciche. Zrzadka tylko przemknie auto.

— Dokąd pójść?

Nagle w załamaniu muru spostrzega chłopca. Chłopiec ma na sobie starą, wyswiechtaną i polataną kurteczkę, sięgającą poza kolana spodnie i wielkie buciory na nogach. Pod pachą trzyma dwie gazety.

Pani Anka przystaje.

— Czemu tu stoisz, mały? — pyta.

Chłopiec nie odpowiada.

— Czy... nie masz nikogo... bliższego... u kogo byś mógł spędzić wilję?

— Tak... nie mam...

Pani Anka decyduje się:

— Chodź ze mną:

Władek spożywa wieszczę, a pa-
ni Anka przypatruje mu się chci-
wym, rozradowanym wzrokiem.

Świeczki na choince jarzą się z
trzaskiem.

Władek już oswoił się i opowiada
o sobie z przejęciem:

Pani przypomina mi moją ma-
musię — mówi.

Pani Anka jest wzruszona. Gła-
daj pieśczołliwie jasną główkę
chłopca.

— Władziu — mówi — ja miałam
syna... też miał na imię tak, jak

ty... Władziu — chciałbyś zostać
u mnie na stałe, na zawsze?

Tak Władek znalazł drugą ma-
mę.



Silacze w dawnej Polsce

Poprzednicy Cyganiewiczów i Pytłasińskich

Wzrost dawnych Polaków był pra-
wie równy dzisiejszemu wzrostowi lu-
du wiejskiego, jednak siła ich mu-
skularna i wytrzymałość znacznie by-
ły większe.

Dziła się to wskutek mniejszych
wygód, a większych trudów i zupeł-
nie innego sposobu życia. Częste dźwi-
ganie zbroi, szermierka i gonitwy, za-
bawy łowieckie, podróże konne bez te-
ważniejszych wygod, zresztą życie
wiejskie zbliżone bardziej do przyro-
dy, aniżeli dzisiejsze po miastach. —
Wszystko to było przyczyną, że daw-
niej, każdy posiadał w sobie więcej
silnej woli, wytrzymałości, zdrowia i
siły muskularnej. Pod tym względem
ojcowie nasi stali nieskonczenie wyżej
od obecnych pokoleń, a dawne źródła
przechowały nam liczne wiadomości o
ludziach niezwykłej siły i wytrzyma-
łości cielesnej.

Pomijając ustne podania, przytoczy-
my tu wzmianki z starych pisarzy na-
szych o ludziach, którzy nawet wśród
silnych pokoleń podziw ogólny krzep

kością swego ciała obudzali.

Oto przykłady:

W wieku 14-tym słynął Stanisław
Ciołek, syn wojewody mazowieckiego.
Będąc jeszcze młodym chłopcem
występował na wyższe miejsce i
wziąwszy w każdą rękę dorosłego
mężczyznę, tłukł jednym o drugiego.
Dzwon spuszczonej z wieży kościoła
koralkowskiego wziął za ucha i do
dnizwi kościoła po schodach zawiósł.
Miecz lub szablę skręcał w rękę na
wzór powroza. Raz wróciwszy z łowów
i zastawszy łaznię zajętą przez dwóch
braci ze sługami, rozgniewany że nań
nie czekali, pochwycił budynek dre-
wiany za narożnik i tak zręcznie
przewrócił, że odkrył kąpiących się.
We wsi swojej Ostrołęce, przy sta-
wianiu młyną, zobaczywszy kłilkuna-
stu ludzi dźwigających potężną belkę,
kazał wszystkim wznąć ją za jeden ko-
niec, a sam pochwyciwszy za drugi,
przeniósł ją wraz z nimi i włożył ją
na ścianę. Kiedy ścisnął w dłoń świe-
że drzewo, to ciekł z niego sok jak

z **gabki**. Tak zwane „leziwa“ czyli gruwziawszy bezkę piwa na ramię, swo-
be sznurą z konopi lub lŷka plecione, bodnie z nią tańczył dokoła stołu.

na których wciągają się i zawieszają bartnicy przy podbieraniu miodu w barciach leśnych, rwał jak nieci. **O Wojciechu Chodźkim** z woje-
Dwie podkowy rozciągnął lub kruszył województwa kałiskiego zaświadcza Pa-
Oznaczywszy krótką szablą kółko na ptocki, iż miał taką siłę w głowie,
za sznur 12 ludziom. Kiedy z Kazi- że wybijał bramy z zawias.

mierzem Wielkim był w Pradze i po- **Teodor Lacki** znakomity wojownik
szedł na zapasy ze słynnym jakimś z czasów Batoŷego i Zygmunta II sły-
siłaczem, tak go ścisnął, że biedny nał z obŷzymiej siły nietylko w Pol-
Czech ducha wyzionął. Mazur ten wy- sce, ale i zagranicą. Przebywając w
stany w roku 1556 dla obrony Woły- Wenecji, chwycił wołu, który się rzu-
nia przeciw Tatarom, którzy Włodzi- cił na niego, powalił na ziemię i karł
mierz opanowali, poległ pod Włodzi- mu złamał. Wozy w biegu, za koła
mierzem śmiercią bohaterską. wstrzymał. Dąb, który mógł dłoń

Wojciech Brudziński za czasów obja: z ziemi z korzeniem wyrwał.
króla Aleksandra Jagiełłończyka i Był zaś tak na ból wytrzymał, że
Zygmunta I, jak zaświadcza Marcju odmioł pod Kirchoimem dwie ciężkie
Bielski i Bartosz Paprocki, sześciu rany w udo od kul, mimo to nie zsiadł
meźów w całkowitych zbrojach na z konia i jeszcze dwie mile pędził u-
barkach swoich dźwigał, a siedząc na niekających Szwedów.

koniu, gdy chwycił się rękami belki **Eustachy Tyszkiewicz**, wojewodzie
w bramie wjazdowej konia swego w brzeski, spotkawszy niedźwiedzia na
górze nogami z ziemi unosił. lowach, miał zwyczaj rozdrażnić go,
Te samą sztukę pokazywał **Wiesio- a gdy bestja stanęła na łapach, łeb
łowski**, marszałek wielki litewski, zna- mu wtedy ścinał.

ny z tego, że wozy w biegu ujawszy **Tomasz Ołędzi** kasztelan zakro-
za tylne koła zatrzymywał i żubra- czymski pięć talarów bitych jeden
oszczepem osadził, który na króla na drugi połoŷonych, szablą przeraŷywał.

króla Zygmunta I **żelazne podkowy** **Ksiądz Druszkowski** proboszcz bo-
łamał, postronki zrywał i talje kart- chołnicki, kiedy mu napuszczono cu-
przedzierał. dzych koni do ogrodu przez mur je
powyrzucał.

Wojciech Lachocki cześnik ziemi **Cymbarka**, księżniczka mazowiec-
dobrzyńskiej, w pełnej zbroi przeska- ka, córka Ziemowita i Olgiendówny
kiwał konia i wozy, w roku 1412 zaś uŷbiona Ernestowi Że-
laznemu, matka cesarza Fryderyka III,
laskowe orzechy w palech gniotła i
pancerze łamała.

Stanisław Radziwiński, kasztelan **Pani Grabowska** w województwie
zakroczymski za Zygmunta Augusta, poznakiem i panną Barska w kałi-
najtęższego chłopca bujał na dłoni, a skiem, ścisnąwszy garść orzechów łas-
konia rozhułkanego chwyciwszy za- kowych w dłoni, olej z nich wyciska-
łeb i uszy, dotrzymał póki masztelarz- ły.

uzdy nań nie włożył, poczem dziki **Żagiel**, szlachcic litewski podskaki-
rumak szedł polkornie, bo mu łeb i wał, dźwigając czterech ludzi na
uszy spuścił. swoich barkach.

Marcin Brzozowski z Brzozowa w **Marcin Cieński** w Sienadzkiem dziel-
ziemi gostyńskiej zwany **Kaptur**em, ny wojownik z czasów Sobieskiego,

a regimentarz za Augusta II, którego raz król zaprosił do siebie i zapragnął widzieć dowody jego siły, podane sobie sztaby żelazne pozakrecał na szyi dwóm królewskim żołnierzom, którzy stali na warcie. Gdy sam król acz wielki siłacz, nie mógł szyn tych odłateć, posłano po znanego z siły kowala. Ale i ten nie podolał, mówiąc że trzeba ilby w ogień wsadzić i szyny rozgrzać, aby żołnierzy z żelaznego jaczma oswobodzić. Wtedy dopiero Cieński rozwinał sztaby z łatwością i pokazał, że od króla i kowala jest silniejszy.

Córka tego walecznego regimentarza odziedziczyła po ojcu także niezwykłą siłę: opowiadano, że gdy raz w jej domu powadziło się ze sobą dwóch szlachciców, pogodziła ich, wzięwszy razem za pasy i wyrzuciwszy przez otwarte okno do ogrodu.

Helena Ogińska, sławna z cnót, siły i nauki, małżonka Ignacego Ogińskiego, kasztelana wileńskiego, która żyła lat 90 w podeszłym już będąc wieku, talerze srebrne w trąbkę zwi-

jada i rozwijała, a talary w palcach łamała.

Jan Kopczak, włościanin, słynął z siły na dworze Stanisława Leszczyńskiego, a gdy pewnego razu karetą ministra Bryła zagrzeżała w błocie, sam ją bez niczyjej pomocy wyciągnął. Następnym przykładem wytrzymałości podaje sławny polski dziejopis Długosz: „Gdy roku 1438 Tatarzy dobyli pojmanyh jeńców polskich Jan Włodkowicz po odniesieniu ran mnogich leżał między stososami trupów, udając nieżywego. Odarli go do naga pohańcy, lecz gdy ściągałi obuwie, a sprzączki puścić nie chcieli, przerzniełi je wzdłuż tak, iż miecz narysował na nogach głębokie rany. Gdy pierścionka, który miał na palcu zdjąć nie mogli uciąli go z palcem. Taką bohaterką ciepłiwością przytłamszy ducha w sobie i nie syknawszy z bólu unikał śmierci lub gorszej niż śmierć niewoli”

Dziś o podobnych siłaczach jakoś nie słychać!...

CZŁOWIEK I PIES

— Ktoś zastukał i pies zawarczał groźnie. Służąca państwa Markiewiczów uchyliła drzwi. Na dworze stał jakiś obszarpaniec.

— Tu nic nie dają — rzekła i pośpiesznie zamknęła drzwi.

Kasia bała się włóczęgów. „Nie wiadomo, co taki może zrobić” — mawiała. „Obrabować albo i zabić nawet”.

Pukanie się powtórzyło. Za trzecim razem Kasia pomyślała, że może obszarpaniec niekoniecznie chodzi po prośbie albo z jakimś złem zamiarami. Może ma jakiś interes. Uchyliła więc znowu drzwi.

— Czego pan?

— Czy... czy... zastałem pana Markiewiczza? — spytał niepewnym głosem przybysz.

— Nie, niema go w domu.

— To... w takim razie ja poczekam.

I wsunął nogę między uchylone drzwi.

Tego było tylko Kasie potrzeba. Krzyknęła z przerażenia.

— Niech się panienska nie boi... Ja jestem...

— Ale Kasia nie słuchała.

— Lord! Lord!

Pies, który stał spokojnie do tej

porzy na boku i jako powankiwał sscicha, rzucił się naprzód do wysuniętej nogi przybysza. Nim ten zdążył się cofnąć, żeby wilka zamknęły się na jego nodze. Nieznajomy krzyknął i zaczął uciekać: szmat nogawki został w pysku psa.

Kasia chciała zamknąć drzwi, lecz pies uprzedził ją i poskoczył za uciekającym. Ten już dopadł furtki, otworzył ją naosćież i puścił się w poprzek szerokiej ulicy. Pies był tuż, tuż.

Właśnie z za zakrętu wyjeżdżało w szalonym pędzie auto. Człowiek zdążył przebiec. Ale pies dostał się pod koła. Rozległ się głośny skowyt.

W następnej chwili auto zniknęło w tumanach kurzu. Na środku ulicy został skowyczący pies.

Człowiek, zamiast uciekać dalej, zawrócił i podszedł do leżącego psa.

— Co ci jest, Lordzik, co ci jest? — rzekł i pogłaskał go po głowie.

Lord początkowo zawarczał groźnie, potem jednak, pod wpływem pieczyoty, liźnął głaszczącą go rękę i jął patrzeć na człowieka, jakby chciał coś powiedzieć. Miał rozciętą głowę nad okiem i silnie pokaleczone tylne nogi.

— Cóż, piesku? Nie zajdziemy sami do domu?

Obszarpaniec wziął delikatnie psa na ręce, zaniósł aż pod drzwi, zapukał i odszedł. Zdaleka słyszał jeszcze uraganie Kasi.

Wkrótce potem wrócia do domu pani Marciwiczowa i jej syn Kazio.

Wzburzona Kasia opowiedziała, jak to jakiś obszarpaniec zjawił się u progu, jak chciał wejść, jak pies rzucił się i pogonił za nim, jak ten pobił psa i odniósł go do domu.

— To jedno tylko nieprawdopo-

dobne — rzekł Kazik, wysłuchawszy opowiadania — że on pokaleczył Lorda. Ta rana i te pokaleczone nogi nie wyglądają na to, aby mógł to uczynić człowiek gołemi rękami. Zresztą, gdyby to zrobił, nie byłby go odnosił.

Ciepła woda z wodą utlenioną zatamowały wkrótce krew, ciekącą z ran, zaś koło południa pies zaczął chodzić. Kulał wprawdzie, ale chodził.

— Trzeba będzie się z nim przejść — zawyrokował Kazik pod wieczór. — Tatus przyjeżdża o szóstej pociągiem, pójdziemy na stację.

Na stacji, po drugiej stronie toru, spostrzegł Kazik jakiegoś obszarpanca, który z wyglądu przypominał owego człowieka, jaki z opisu Kasi wtargnął chciał do ich domu. Kazik jednak nie był pewny. Ale pies poznał go i skomlał pokuszywał w jego stronę.

Dzielił ich głębok tor. Pies skoczył wdół, ale nie mógł się wydostać — przeszkadzały mu bolące tylne łapy. W tej chwili nadjechał pociąg.

Kazik gwizdnął na psa, który wrócił się. Nie mógł jednak wyskoczyć z obetonowanego wgłębienia. Kazik chciał iść mu z pomocą, jednak powstrzymał go jakiś kolejarz: pociąg był tuż tuż. Wreszcie Lord uczynił ostatni wysiłek i wskoczył na brzeg toru, gdzie go chwycił Kazik i wyciągnął z dołu. W tej samej sekundzie pociąg przejechał.

W chwili potem obszarpaniec stał obok Kazika i pytał drżącym głosem:

— Czy pan jest... jest...

Nie dokończył. Jakoś starszy pan stanął przy Kaziku. Obszarpaniec chwile przyglądał mu się:

— Karol!

— Leon!

Kazik wiedział, że Leon był to młodszy brat jego ojca. Dwadzieścia lat temu Leon pokłócił się z całą rodziną, wywedrował gdzieś i słuch o nim zaginął.

— Leon! Bracie, co się z tobą dzieje? — pytał starszy pan Markiewicz.

— Co? A no... tułałem się po świecie... Byłem w Ameryce, w

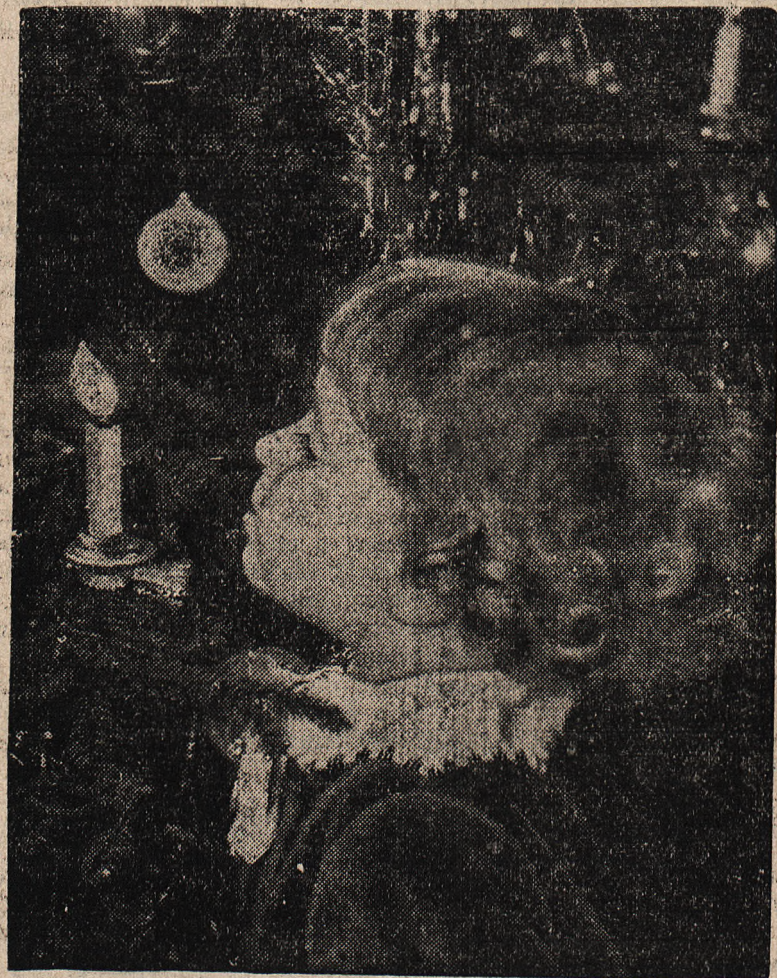
Afryce... znalazłem dużo biedy... Te raz wróciłem... Chyba przyjmiecie mnie?

— Chyba przyjmiemy go, co?

— rzekł z rozrzewnieniem.

Kazik pomyślał chwilę i odrzekł: — Nie do mnie należy sądzić stryja, ale kto tak postąpił ze zwierciem, jak on, musiał być dobrym człowiekiem.

W chwilę potem szli zgodnie ku domowi Markiewiczów.



Strucla jako dzieło sztuki

Dawnemi czasy piekarze i cukiernicy warszawscy z zapalem i kunsztem, godnym może nieraz lepszej sprawy, szli z sobą w zawody w dziedzinie wypiekania wspaniałych i nader okazałych strucli wigilijnych. Wiemy, że strucla jest główną ozdobą stołu wigilijnego w Polsce. Nie może się bez niej obejść najbiedniejsze domostwo. Nac zatem dziwnego, iż wybitni majstrowie sztuki piekarskiej starali się z okazji świąt Bożego Narodzenia okazać swą najwyższą umiejętność i talent na tem polu, podziwiani nieraz przez dygnitarzy, a nawet przez samego króla, o czem mówią dawne pamiętniki m. Warszawy.

Jedną z najokazalszych strucli która przeszła do dziejów miasta, była strucla, jaką upiekł pewien piekarz z ulicy Zakroczymskiej w podarku dla burmistrza Warszawy. Gotowe już dzieło niosło przez ulicę miasta aż do ratusza czterech biało ubranych piekarczyków, otoczonych tłumem „gapiów” staromiejskich. A było na co patrzeć! Imponujący był ogrom strucli z rodzajem wysokiego wieka. Gdy wniesiono ten ciężar na polkoje burmistrzowskie i ustawiono go wygodnie i bezpiecznie na ogromnym stole, wygłosił twórca tego dzieła sztuki piekarskiej uroczyste przemówienie w imieniu cechu piekarzy warszawskich. Po chwili prosił mistrz panią burmistrzową, aby zechciała łaskawie zdjąć wierzch strucli. I o dziwo! Ku ogromnemu zdumieniu zebranych, wyskoczył ze strucli pięcioletni synek piekarza i zaczął śpiewać kolendy.

W innym znów rodzaju była po-

myślana wspaniała strucla, jaką znany piekarz królewski, Józef Smoleński upiekł na święta Bożego Narodzenia dla króla Jana Sobieskiego w roku 1681. I tu zbiegali się tłumy ludności, by podziwiać dzieło sztuki piekarskiej, która zajaśniała całym blaskiem i dowcipem. Na strucli ułożył bowiem Smoleński wizerunek królowej Marysienki z migdałów, rodzynków i przeróżnych bakalij w sposób tak artystyczny i piękny, iż zdawał się być malowidłem lub mozaiką.

Również w pamiętnikach z czasów króla Stanisława Augusta znajdujemy się wzmianka, iż jeden z najmniejszych piekarzy ofiarował królowi struclę symboliczną, długą na siedem łokci, na pamiątkę, iż elekcja króla odbyła się dnia siódmego wrzesnia, a na wspomnienie tego miesiąca niosło ją do zamku królewskiego dziewięcioro dzieci piekarza, jako że wrzesień jest dziewiątym miesiącem w roku. Mąki do wypieku owej strucli miało podobno dostarczyć siedemnaście młynów warszawskich, jako że król urodził się siedemnastego stycznia. Przypraw zaś i dodatków do strucli było w sumie trzydzieści dwie, bo tyle właśnie lat król liczył w roku ofiarowania mu strucli.

Tak to pomysłowo i artystycznie pracowali dawni piekarze warszawscy.



CO PISZĄ DZIECI?

„Z pamiętnika harcerza“

1 sierpnia.

...Pociąg włócił się w złotwim tempie. Niekiedy zapal go brał i plując dla dodania sobie animuszu gorącą parą — pe-dził w dal. Jednostajny krajobraz dener-gował mnie strasznie. Zrezygnowany u-siadłem na ławce. Dla zabicia czasu, za-cząłem czytać wszystkie napisy w wa-gonie. Mój towarzysz siedział na ławce i kiwał się monotonnie. Spał. Lepiej jest odpoczywać, przygotowując nogi do noc-nego marszu ze Skoczowa do Brennej. Narazicie Skoczów! Budzę mego kolegę i wychodzimy na peron. Zmrok zapada. Krętymi, średniowiecznymi uliczkami Sko-czowa ruszamy do Brennej. Poraz pier-wszy ogarnia nas potęga i urok ciemno-ści na tym samym gościńcu. Dla do-dania sobie animuszu, pogwizdujemy przez zęby strofy jakiejś najhowszej arji. Ciemną nocą, wśród gęstego lasu, wchodzimy do Wielkich Górek. Jest już około dziesiątej przed północą. Decydu-jemy się na nocleg. Tu z rekordem go-ścińności wysuwa się willa „Matula“, w której znajdujemy zasłużony odpoczy-nek.

2 sierpnia.

Jestem na kursie wodzowskim w Bren-nie. Życie upływa nam zwykłym trybem. Kwaterujemy obok szkoły instruktorskiej, w czterech namiotach(!). Przycho-dzą do nas zuchry ze szkoły, z którymi mamy zbionki i którzy są dla nas jakby

„tarem eksperymentalnym“. Zwykle na polance rozlega się wesoly i bez troski spiew zuchów:

...Wesół i śmiały, dzielny choć mały

Oto jest chłopak — zuch!

Szczudła, huk, czy lanka,

Latawiec, skakanka,

Oto jest chłopak — zuch!

Czuje się w swoim żywiole. To jest zyciel..

28 sierpnia.

...Wracam z kursu wodzów zuchowych z nowym zapasem sił i zapału do pracy twórczej i trwałej,

...Idziemy gromadą i lawą,

Z pieśnią na ustach, z zabawą,

Pragnieniem czynu i mocą,

Służąc Ci wierni, ochoczo,

Najdroższa Rzeczypospolito!..

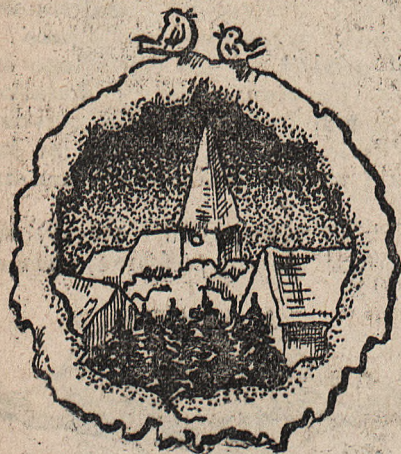
T. Bartosz (Ajer).

ROZMAITOSCI NIEZWYKŁY ZAKŁAD.

Do konsulatu polskiego w Buda-peszcze zwrócił się z prośbą o wizę i zezwolenie na dłuższy pobyt w Polsce uczestnik jednego z najsen-sacyjniejszych zakładów, jaki miał miejsce jeszcze przed wojną świa-tową.

W roku 1910, w jednym z klu-bów w New Yorku, stanął zakład między milionerem amerykańskim, „królem kolejowym“, Astorem, a węgariskim inżynierem Fibingie-rem, tej treści: Fibingier obowiązu-je się przejść 180.000 kilometrów na piechotę, nie używając żadnych mechanicznych środków lokomocji; wzamian za to ma być mu wypla-cona suma 100.000 dolarów. Ponie-waż zakład był traktowany na ser-jo, sumę tę zdeponował Astor w Banku Narodowym w New Yorku.

Fibingier rozpoczął swą wędrow-kę po świecie, nie przerywając jej nawet w czasie wojny światowej. W ciągu dwudziestu pięciu lat zdo-lał przejść około 178 tysięcy kilo-metrów, zwiedzając kilkanaście państw w Ameryce i Europie. Wy-



trwały piechur padł kulkanaście ra-
zy ofiarą rozmaitych wypadków,
jak przejechanie przez samochody,
upadek z góry i t. p. — nie zarzu-
cił jednak swego zamiaru wygra-
nia zakładu.

W tym roku Fibingier zawędro-
wał do rodzinnego miasta Budape-
sztu, skąd przez Czechy i Polskę
zamierza udać się do Gdyni, a stam-
tąd, już okrętem, po odbiór 100.000
dolarów do Ameryki.

ABISYŃSKIE ZNACZKI POCZTOWE.

Od czasu wybuchu wojny wło-
sko-abisyńskiej na rynku filateli-
stycznym zaznacza się olbrzymi po-
pyt na znaczki abisyńskie.

Abisynja wogóle posiada znaczki
pocztowe dopiero od 40 lat, t. j. od
czasu gdy zawarła konwencję pocz-
tową z innymi państwami. Przed za-
warcie umowy znaczki były tam
niepotrzebne, bo „poczta“ przesy-
łana była, jak za czasów króla Me-
nelika pierwszego za pośrednic-
twem posłańców, którzy pieszo w
sposunkowo b. krótkim czasie prze-
biegali, obrzymie przestrzenie.

Pierwsze wydanie abisyńskich
znaczków pocztowych, nosi datę
roku 1894 i wizerunek Negusa Me-
nelika II, wykonany przez... arty-
stę włoskiego. Od tego czasu poja-
wiło się w Abisynji około 270 róż-
nych servi znaczków.

Zgodne współzycie

OS I PTAKÓW

Najzłośliwszy z owadów, osy, nie
są chyba najgorsze, skoro w ich po-
bliżu mogą się gnieździć ptaki. Pe-
wien przyrodnik, badacz strefy pod-
zwrotnikowej, opisuje ciekawe pod-
tym względem spostrzeżenia.

W lasach tropikalnych żyje pe-
wien gatunek małych ptaków, któ-
re budują swe gniazda na ziemi,
wyłącznie w bezpośrednim sąsiedz-
twie os.

W ten sposób ptaki, które stano-
wiły dawniej upragnioną zdobycz
ła różnego rodzaju drapieżników,
znalazły naturalną ochronę tak
skuteczną, że, jak stwierdził przy-
rodnik, zagrożone jeszcze przed kil-
kudziesięciu laty zagłada, rozmna-
żają się w ostatnim czasie coraz
bardziej.

Do gniazda z osami nie podejście
żaden nieprzyjaciel ptasiego rodu.
Zdarzyły się nawet wypadki, że
przyrodnicy, chcąc utrwalić na fo-
tografii to bądź co bądź niezwykłe
zjawisko współzycia ptaków z osa-
mi, musieli wpieryw przystąpić do
wykurzenia gniazd os, czem jedno-
cześnie płoszone ptaki, które ucie-
kały razem ze swymi opiekunami
i osiadały z niemi na nowem miej-
scu.

Następny numer „Mojego Światka“ ukaże się w
niedzielę dnia 5 stycznia roku przyszłego

Odpowiedzi Czarnego Wujaszka.

JADZIA KLEINOWNA. Dostałem od
Ciebie, Jadziu, najmilszą gwiazdkę. Ani
się pewnie domyślasz co mianowicie.
Oto tą wiadomością, zawartą w Twoim li-
ście, że zdobyłem tyle (to zn. trudno zli-

czyć ile) Waszych serc. Życzysz mi, by
mnie gwiazdka obdarzyła obficie. Wła-
śnie się to stało, gdyś mi napisała o Wa-
szej dla mnie życzliwości. Życzę Ci na-
wzajem wszystkiego tego, czego Ci ży-

aza Twój rodzice. Więcej już nie można. **ZASTĘP HARCERZY NA FLORZE.** Życzę Wam, byście w konkursie zdobyli nie drugie ale pierwsze miejsce.

NIEZAPOMINAJKA. Niestety, na poranku nie byłam, ale słyszałam od osób, obecnych na nim, że przedstawienie wypadło udanie.

BEZMIENNA. Mamusia ma słuszną rację, ale gdy już mi się przedstawiłaś, to dalsza korespondencja może się już odbywać pod pseudonimem.

KOPCIUSZEK. Bardzo się zdziwiłam, że „zasadniczo” nie lubiłaś czytać książek. Być może nie natrafiłaś dotychczas na dobre książki. Nie wątpię, że z czasem Twój gust ulegnie zmianie.

MALUTKI FILATELISTA. Ilustracje, znajdujące się na pierwszej stronie „Mojego Świątka” są nadsyłane przez specjalną agencję, która się zajmuje produkowaniem klisz.

ZBYSZEK FILATELISTA. Chętnie zapisuję Cię do grona Czytelników i czekam na dalsze od Ciebie listy.

RÓŻYCZKA Z SOSNOWCA. Specjalnego kalendarza „Mojego Świątka” nie będzie.

PODRÓŻNICZKA Z NIWKI. Bardzo Ci dziękuję za sprawozdanie z wycieczki do hodowli srebrnych lisów. Pomieszczone je w jednym z najbliższych numerów.

rów.

HANE CZKA i MACIUS PŁODZYŃSCY. Macius ma dobre serce i chciałby mieć dużo pieniędzy, żeby móc wyjść na ulicę i wszystkich biednych wspomóc na święta. Kiedy Macius dorośnie, to trochę zmieni zdanie i będzie pragnął, aby ludzie biedni mieli przedewszystkiem pracę która daje możliwość bytu. Dziękując serdecznie za miłe dla mnie życzenia świąteczne, życzę Maciusowi, by nigdy mu nie brakło dobroci serca, a Tobie Halinko, byś ciągle miała dobre stopnie teraz w świadectwie szkolnem, a kiedyś po latach w opinii uczciwych ludzi.

KRYSLA LESNICZANKA. Od Nowego Roku „Mój Świątek” będzie miał dalsze numery porządkowe. Co się tyczy materiału do działu rozrywek, to narazie mam go dosyć.

KRYSLA PRUGARÓWNA. Owszem, bardzo Cię proszę o przysłanie mi sprawozdania z Jasełek w Waszej szkole. Za życzenia świąteczne dziękuję Ci w imieniu swoim i wszystkich czytelników „Mojego Świątka”

Wszystkim tym, którzy nadesłali do „Mojego Świątka” życzenia świąteczne, w szczególności zaś Czarnookiej z Sosnowca, Wł. Kałownic, Lesnej Boginie i Halince Jastrzębiec - Tobolskiej — serdecznie dziękuję za pamięć.

ODGADNIJCIE

ROZWIĄZANIE Z POPRZEDNIEGO NUMERU „MOJEGO ŚWIĄTKA”:

Lamigłówka I — „Nadchodzą święta Bożego Narodzenia.

Lamigłówka II — Mabejko.

DOBRE ROZWIĄZANIA NADESŁALI:

1) Tadzio Filatelista, 2) Jadzia Filatelista, 3) Czesio Biesaga, 4) Nizapominalska, 5) Wanda Dudzikówna, 6) Jutrzenka, 7) Zonia Filatelista, 8) Juljan Sikora, 9) Donka Matkówna, 10) Jasia Jędrzejewska, 11) Jadzia Jędrzejewska, 12) Basia M., 13) Hane czka i Macius Płodzyńscy, 14) Różyczka, 15) Malutki Filatelista, 16) Benia Filatelista, 17) Halina Jastrzębiec-Tobolska, 18) Jerzy Trzcionka, 19) Iruś Marynarz, 20) Genia Macudówna, 21) Alicja Szopezńska, 22) Waldemar Szopezński, 23) Basia z Sosnowca, 24) Kasia „Różyczka”, 25) Zbyszek Filatelista, 26) Mady pułkownik, 27) Halka Puella, 28)

Gwiazdeczka z Sosnowca, 29) Mały Zuch, 30) Wesoła Towarzyszka, 31) Lopka z Sosnowca, 32) Tecca, 33) Harcerska Perla, 34) Marjan Filippek, 35) „Wiesia”, 36) Miła Białotówna, 37) Czesio z Sosnowca, 38) Basia M., 39) Zeneczka Sowińska, 40) Halina Szczotkowska, 41) Jan Kurpiak, 42) Henryk Kościak, 43) Jadzia Kleimówna, 44) Hala Nowakowska, 45) „Kopciuszek”, 46) Wiladysława Kałówna, 47) Bezmienna, 48) „Bawole Serce”, 49) Bolesław Piotrowski, 50) Tadeusz Grzeszczak, 51) Mirus Grzeszczak, 52) Stanisław Gawlik, 53) Michał Gawlik, 54) Pogromca Mueh, 55) Kryslia Radałówna, 56) Hala Kocobówna, 57) Aniołek Wacław, 58) Irena Woj-

cikówna, 59) Krysia Przybyłanka, 60) Krysia Prungerówna, 61) Basia Kudelska, 62) Czarnooka, 63) Czarna Żółka, 64) Jęzry B., 65) Podróżniczka z Niwki, 66) „Mały Ulan”, 67) Isienka Ottówna, 68) Leśna Boginka, 69) Helenka Błyskotka 70) Nina Niebieskooka, 71) Jędrzek Szostak.

—xx—

NAGRODY

Drogie dzieci! Pan Władysław Czechowski, właściciel składu materiałów piśmiennych przy ul. 3 Maja w Sosnowcu złożył do dyspozycji „Mojego Światka” nową dużą porcję bardzo wartościowych znaczków pocztowych. Nasi mili filatelisci niewątpliwie przyjmą tę wiadomość z zadowoleniem i Ci z nich, którzy będą nagrodzeni, znajdą sposób, aby wyrazić p. Czechowskiemu swoją wdzięczność. My ze swej strony dziękujemy Mu tu serdecznie w imieniu swoim i wszystkich młodocianych filatelistów.

—oOo—

NAGRODY OTRZYMAŁI: Znaczkę pocztową z f-my Wł. Czechowski: Zbyszek Filatelista i Bolesław Piotrowski.

Książki: 1) Jadzia Jędrzejewska — „Dzieci Puszczy” kpt. Maryata, 2) Hala Kocotówna — „Wesołe Figlarki” J. Haberona, 3) Mały Zuch — „Mały Zuch” J. Bierońskiego, 4) Tadeusz i Mirus Grzeszczakowie — „Wychowanek Francji” Lili Hanusz i „Władca Grenlandji” L. Życkiego, 5) Małachowski, 6) Hameczka i Macius Płodzyńscy „W słoneczne miesiące” J. Bierońskiego i 6) Waldemar Szczepański — „Wyspa błędząca” J. Vernego.

Nagrody należy podejmować dziś do godz. 11 w Administracji „Kurierza Zachodniego”, Sosnowiec, ul. Piłsudskiego 4, lub dopiero po świętach.

—:O:—

LAMIGŁÓWKA

(złożyła Irena Wójcikówna).

Ułożyć 25 wyrazy, których pierwsze litery, czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Krótki utwór powieściowy, 2) Kwiat ogrodowy, 3) Zwierzę polarne, 4) Miasto w Polsce, 5) Opad atmosferyczny, 6) Jednostka monetarna, 7) Wulkan we Włoszech, 8) Dopływ Wisły, 9) Przyjazd do zycia, 10) Początkowe czytanie, 11) Łaska góralska, 12) Gwóźdź do podkowy, 13) Inaczej praca, 14) Sa-

mogłoska, 15) Inaczej związek, 16) Imię żeńskie, 17) Czas wolny od zajęć, 18) Oddział kawalerji, 19) Człowiek nie umiejący czytać i pisać, 20) Rodzaj gramofonu, 21) Zabezpieczenie od ognia i wypadku, 22) Sport zimowy, 23) Pobór do wojska.

Sylaby: ster kusz no ro ty wel a fer ol deszcz ka ni e i man ciu ro tna le ga zło hu ni gła e pa fnał da tarz bo y sto rzy ta sze wol łop re szwa nie te sa dron fa be pa a nal ta te fon stwo ru nek a a sen nar te ciar se ra kija ur.

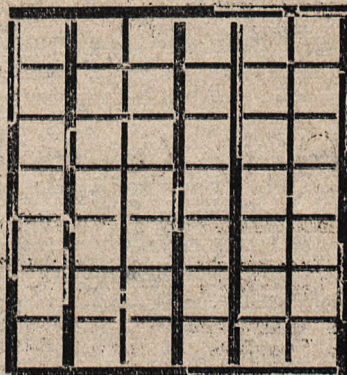
ARYTMOGRAF

1 7 12 12 — 5 15 7 15 10 — 6 11 19 8
5 21 7 — 7 5 4 2 11 22 5 1 11 — 2 20 22
9 12 18 14 16 10 5 — 2 10 9 16 — 2 —
14 5 14 — 20 17 5 15 3 21 10.

Cyfry powyższe zastąpić odpowiednimi literami, aby otrzymać rozwiązanie. **Słowa pomocnicze:** 7 5 16 9 21 10 — służby do wyciągania gwóźdź; 8 18 19 11 — inaczej nie mała; 12 7 1 7 15 5 17 — dawny taniec; 2 7 14 15 11 — zbrojna rozprawa między państwami.

—:O:—

LOGOGRYF PODWÓJNY



W kratki wpisać 14 słów trzyliterowych, po dwa słowa — jedno za drugim — w każdym wierszu. Litery w grubszych kratkach, czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie słów: 1) środek lokomocji — rzeka w Polsce, 2) głowa zwieńczenia czasownik, 3) owad — ogród owocowy, 4) monarcha w dawnej Rosji — chłopicz po angielsku (wspak), 5) detonacja — narząd powonienia, 6) zęby zwierząt (wspak) — trucizna żmii, 7) imię żeńskie — część przedstawienia,

FILATELISTKA — KAZIA KOSIŃSKA

24

NA CZERWONĄ PLANETĘ

OPOWIADANIE Z NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI

Teraz właśnie astronom i Ala siedzieli w pocisku i rozmawiali o owej projektowanej wyprawie. Przed pociskiem prof. Mirski robił obserwacje słoneczną, doktor spisywał wrażenia z podróży do „górnego Kopernika“, a Ptaszyński gotował obiad.

Nagle Ala — tak samo, jak podczas choroby Andrzeja, spojrzała w okno.

— Któryś z Marsjan idzie — rzekła.

Andrzej odsunął mapę, a rzuciwszy okiem, dodał:

— Zdaje się, że Mayrci.

Postać Marsjanina zwiększała się coraz bardziej; po chwili, stanawszy już przed pociskiem, zamienił parę słów z Mirskim. Profesor zebrał śpiesznie swe instrumenty i razem z Mayrci'm — bo on to był, wbiegł na drabinkę, prowadzącą do pocisku.

Dziewczynka pośpieszyła otworzyć drzwi i po chwili Marsjanin, wraz z profesorem był w pocisku.

Mayrci rozejrział się z trwoga.

— Uciekajcie! uciekajcie! — jęczał zdyszany. — „oni“ idą! całe masy!

— Co ty mówisz?

— Idą, wnet tu będą, uciekajcie!

— Co robią wasi?

— Ratuja wszystkie przynady, zapasy żywności i barykadują się w pieczarach. Kareo i jeszcze dwóch zaraz tu będzie. Parę najcenniejszych przyrządów astronomicznych ja przyniosłam.

Teraz dopiero zauważono dużą skrzącą jakiegoś metalu, która

był obarczony Mayrci.

— A to Kareo nie zostanie się bronić?

— Nie, niejcenniejsze rzeczy i nasze specjalne środki obronne tu przeniesie, i będzie się bronić z nami. Nasi zostaną zabezpieczeni, a „oni“ będą chcieli najpierw zniszczyć nasze kanały!

A spojrzawszy w okno, dodał:

— Kareo już idzie.

Rzeczywiście, Kareo, obarczony różnemi pakunkami o różnych kształtach, wraz z dwoma towarzyszami biegł łąką, oglądając się z trwoga.

Po chwili, stanawszy w pocisku zawołał:

— Ratujcie się! „Oni“ idą!

Mirski momentalnie objął komendę.

— Kiedy nadejdą? zapytał Karey.

— Najdalej za pół godziny — odparł zapytany (Marsjanie nauczyli się już ziemskiej rachuby czasu).

Profesor wydał rozkazy:

— Panie Stanisławie, proszę doprowadzić maszynę do porządku! Sprawdzić kamerę wybuchową!

Andrzeju, proszę szykować bomby gazowe i wszelką broń! Doktorze, proszę z karabinem do okna! Ala,

— wy — tu zwrócił się do dwóch pozostałych Marsjan — ulokować bezpiecznie przynady.

Wszyscy rozbiegli się, spełniając polecenia.

— Przyniosłem wam nasze jedzenie — oznajmił Mayrci — bo możecie go potrzebować.

Dalszy ciąg nastąpi